

# Epitafium

Ciemnozłoty liść zawirował na wietrze. Robert obserwował jak spada. Po nieskończeniu długiej chwili podniósł wzrok i rozejrzał się dokoła. Jesienny wiatr huczał mu w uszach. Paskudna listopadowa pogoda, wręcz idealna na odwiedzinę takiego miejsca.

Większość nagrobków była w opłakanym stanie. Walały się wśród powykręcanych od starości drzew. Na cmentarzu spoczywali żydzi i katolicy. Na pierwszy rzut oka panował zupełny chaos. Również w datach na tablicach. Lecz jakieś dziwne przecucie mówiło mu dokąd iść. Poprawił płaszcz, uśmiechając się lekko. Pewnym krokiem ruszył w alejkę oznaczoną wyblakłym symbolem  $\Omega$ .

\*\*\*

Zawsze uważał się za kogoś wyjątkowego.

— Jak się pan czuje? — Głos mężczyzny zawierał idealną mieszankę profesjonalizmu i wyuczonej troski.

— W porządku. Chyba... — zmarszczył brwi pacjent.

— Co ma pan na myśli? — Lekarz nie patrzył na niego. Błądził wzrokiem gdzieś po rzeczywistości rozszerzonej.

— Nie kojarzę tego wspomnienia.

— Proszę się niczym nie przejmować. Jest pańskie. Niekoniecznie istotne z punktu widzenia świadomości.

— Po prostu...

— Poza tym to pana emocje! — mężczyzna nie dał sobie przerwać. — Transfer osiągnął dokładność dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt pięć procent. Ma pan do dyspozycji trzy petabajty swojej pamięci, przy mocy obliczeniowej szacowanej na około...

Robert czekał aż skończy.

— Przepraszam, rozgadałem się. — Wzrok lekarza w końcu skupił się na pacjencie. Może zrobił sobie przerwę od Sieci? — Ma pan jeszcze jakieś uwagi dotyczące operacji?

— Nie. Przejdźmy do mojego wypisu.

Myśl o tym, dlaczego jego pierwsze “wspomnienie” po stu czterdziestu pięciu latach nie mogło być bardziej przyjemne, postanowił zachować dla siebie.

\*\*\*

Zastanawiał się, czy przekona się do Oczu. Implanty, wpięte bezpośrednio w korę nową z interfejsem wzrokowym. Oraz neurologicznym i werbalnym, ale to był już standard od dobrych kilku dekad. I oczywiście Sieć. Stały dostęp do informacji; natychmiastowa komunikacja z każdym; chmury z przestrzenią dyskową i niemal nieograniczoną mocą obliczeniową. To wszystko dostępne, jeśli tylko zechcesz pomamrotać pod nosem, ułożyć zgrabną myśl z zapytaniem albo po prostu spojrzeć na coś lub kogoś. Musiał przyznać, że — mimo wielu prognoz — świat jednak nie stał w miejscu.

Wektor zmian był oczywisty, a jego zwrot został wyznaczony jeszcze pod koniec dwudziestego stulecia. Półtora wieku temu! Za rzeczywistość rozszerzoną — tak płynną i tak wygodną, iż ponad dziewięćdziesiąt pięć procent cywilizowanego społeczeństwa uważało ją za integralną część siebie — należało płacić. A walutą niezmiennie była informacja. I prywatność. Owszem, odgórny nadzór oraz troskę rządu, sprzymierzonego z korporacjami, można było ograniczyć. Teoretycznie, żaden obywatel — przynajmniej w Stanach i Nowej Europie — nie był zobligowany do posiadania Oczu. Ani innych wszczepów, poza identyfikacyjnym. Mały, denerwujący, widzialny w nadfiolecie tatuaż. Obowiązkowo w widocznym, nieosłoniętym przez większość czasu miejscu. I, naturalnie, ze stałym interfejsem do Sieci. Nowy, lepszy dowód osobisty.

Robert dostał tatuaż, ale na Oczy się nie zdecydował. Jeszcze. Wziął jedynie soczewki AR. Funkcjonalność zasadniczo ta sama, jedynie immersja gorsza. Trochę wolniejszy transfer, słabszy podręczny procesor wirtualizacji, mniej miejsca w cache’u\*. No i brak możliwości subskrypcji niektórych kanałów i aplikacji w wersji premium. Ale w zamian za to w każdej chwili mógł je zdjąć.

Na razie mu się podobało. Do tego stopnia, że zanim opuścił budynek laboratorium, postanowił dokładniej sprawdzić, co przez te wszystkie lata zmieniło się w wirtualu. I lepiej przygotować się do wyjścia na zewnątrz.

\*\*\*

— Robert! Kurwa! — głos Dana prawie rozsadził mu bębenki. — Co ty odpierdalasz?

Cholernie nie pasowało mu, że muszą latać z komunikatorami. *Wingsuiting* wymagał maksymalnego skupienia. Przynajmniej w tym wydaniu.

— Wiem, wiem — mruknął tylko w odpowiedzi.

Wiedział jak blisko jest rekordu. Zarówno nieoficjalnego Wenezueli, jak i swojego osobistego. Roraima była jedynym z jego ulubionych miejsc. Leciał wzdłuż pionowej grani, pod delikatnie opadającym kątem. Cały czas nabierał prędkości.

— Zabijesz się! — szczechnął Dan.

— Dobra, kurwa! — warknął w odpowiedzi. — To się zabiję!

Za wolno. Przyspieszenie było za małe. Miał dopiero dwieście siedemdziesiąt na liczniku, a góra skręcała już za kilkaset metrów. Jeśli niczego nie zmieni — z rekordu nici.

— Pikuję — oznajmił krótko.

— Ja pierdołę, ja żartowałem z tą śmiercią, Rob... — tym razem w głosie przyjaciela usłyszał nieudawany strach. — Nie rób tego!

Nie odpowiedział. Zmniejszył opór powietrza, przyjmując bardziej zwartą pozycję. Postanowił dobić do trzystu dwudziestu, a następnie już spokojnie opaść na las okalający górę. Ewentualnie będzie ratować się zapasowym spadochronem. Nie ma prawa się nie udać.

\*\*\*

Nie udało się. Z pewnym rozbawieniem oglądał film z dolnej kamery helikoptera. Dan pewnie niezbyt długo opierał się z jego udostępnieniem. Swoją drogą, to dość nieprawdopodobne, że po grubo ponad wieku, wciąż tak łatwo go odkopać w mule Sieci. Z drugiej strony: w chwili śmierci był światowej sławy pływakiem. Do tego biznesmenem i jednym z nielicznych sportowców z niemal miliardowym majątkiem. Jego wypadek był pokazywany i komentowany we wszystkich mediach. I na pewno cieszył się ogromną popularnością. Zwłaszcza, że był dość spektakularny, nawet jak na standardy Roberta.

Leciał za szybko, by uniknąć zderzenia z ptaszyskiem. Jakiś tropikalny, latający szczur przydzwonił mu w bark. Głupi stwór zginął na miejscu, swobodnie spadając w kilkuset metrową otchłań. Robert natomiast stracił równowagę. Musiał szybko kontrować zmianę trajektorii, ale — ponownie przez zbyt dużą prędkość — nie wykręcił przed jednym z wodospadów, spływających ze zboczy góry. To był jego koniec.

Trochę żałował, że w poprzednim życiu nie był artystą. Choćby malarzem. Bądź pisarzem. Najlepiej muzykiem — wtedy na pośmiertnych tantiemach zgarnąłby tyle kasy, że

po Wznowieniu nie musiałby troszczyć się już o nic. W obecnej sytuacji i tak nie było źle, ale inflacja znacznie uszczupliła jego oszczędności. Analizując rynek Nowej Europy, doszedł do wniosku, że wystarczy mu na maksimum kilka lat bezstresowego życia. Na poziomie, do którego przywykł.

W końcu odważył się wyjść na ulicę. Wystarczył rzut oka, by zobaczyć, jak bardzo rozrosło się Scotsdale. Przede wszystkim w pionie. Zamiast nudnego, poziomego krajobrazu jednorodzinnych domów, zakładów przemysłowych i hurtowni, dokoła Life Lab. wyrosło wiele apartamentowców i centrów biznesowych. Nic dziwnego, jeśli brało się pod uwagę prawie pięciokrotny wzrost liczby mieszkańców. Z tego co zdołał się dowiedzieć wskaźnik zgonów zapikował już lata temu.

Ani Scotsdale, ani Phoenix, ani nawet pobliska Kalifornia, nie należały do jego miejsc. Owszem, chwilę mieszkał w L.A. Zwykle po prostu bywał, w celach zawodowych lub prywatnych. Znacznie częściej w tych drugich. Przez chwilę wydawało mu się, że wspomnienia dawnych zabaw, zdołały rozgrzać to dziwne, słabe, nowe ciało. Myśl o kobietach, kalifornijskim słońcu i nie kończącej się sangrii, którą i tak musiał później spalić, w magiczny sposób nastrajała pozytywnie i dodawała otuchy. Stwierdził, że kontynuacja wątku będzie dobrym początkiem życia w świecie, w którym science-fiction stało się prawdą.

\*\*\*

Był zaskoczony i wściekły tym, jak długo musiał szukać odpowiedniego miejsca. Okazało się najwyraźniej, że siedzenie w pubach, picie i jedzenie na mieście; a nawet zwyczajne, proste spotkania żywych ludzi stały się ekscentryczną rozrywką, właściwą znużonym bogaczom, dziwakom bądź starcom. Chłanie do nieprzytomności, objanie się po ryjach o czwartej nad ranem, dzikie i żalosne tańce godowe, przy muzyce której nie da się słuchać na trzeźwo — wszystko to stało się reliktem przeszłości. W Scotsdale była jedna niewirtualna restauracja i dwa kluby, z których jeden miał udawać dwudziestowieczną dyskotekę, a drugi symulować klasyczny, staromodny pub. W całym Phoenix była wyznaczona ponoć cała tak zwana Dzielnica Wspomnień. Kilkanaście lokali na dziesięciomilionową populację.

Wybrał pub. Nie wszystko było jak w dwudziestym wieku. Nie mogli powstrzymać się przed instalacją przezroczystych stołów, o funkcji dotykowych wyświetlaczy. Były też wygodne łóżka, pełniące faktycznie funkcję portów do wtyczek i rozszerzeń. Klient mógł — za dodatkową opłatą — włączyć tymczasową modyfikację, pozwalającą mu poczuć się

inaczej. Popularne były zwłaszcza psychodeliki lub ekstaza, ładowana bezpośrednio do podświadomości. Narkotyki szyte na miarę dwudziestego drugiego stulecia.

Robert usiadł przy barze, na zwyczajnym hokerze. Właściciel pozwolił sobie na odrobinę ekstrawagancji — drinki rozlewał barman z krwi i kości. Zamówił podwójną whisky. W poprzednim życiu (złapał się na tym, że nie potrafi myśleć o swojej przeszłości inaczej) rzadko pozwalał sobie na ciężki, kaloryczny alkohol. Szło opornie, jednak udało mu się czerpać radość ze smaku trunku. Gdy skończył, wziął jeszcze raz to samo. Alkohol rozgrzał krew, a on przestał grzebać w Sieci, analizować i generalnie myśleć o współczesnym świecie. Poczul się spokojnie, wręcz błogo.

Po dłuższej chwili, do niemal pustego lokalu, weszła młoda kobieta. Długie czarne włosy i zgrabna talia od razu przykuły jego wzrok. Dotarło do niego, że od Wznowienia widział niewiele kobiet. A nawet, jeśli jakieś zdarzały się wśród mijanych niedobitków zamkniętej w VR rasy ludzkiej, nie budziły w nim żadnych emocji. Dwudziesty drugi wiek cechował się tak ogromną tolerancją stylu, fenotypu i płci, że większości serdecznie zbrzydł pęd do idealnego wyglądu i dążenia do bycia oryginalnym za wszelką cenę. Dziewczyna w pubie, na oko dwudziestopięcioletnia, była za to seksowna jak diabli.

Wyglądała na równie zagubioną jak on. Rozejrzała się po pustych miejscach, po czym podeszła do baru. Spojrzała na bawiącego się szklanką Roberta.

— Proszę to co on — rzuciła w stronę znudzonego barmana.

\*\*\*

— Nie! To niemożliwe. — Robert żarliwie zaprzeczył, teatralnie wymachując rękami. — Nirwana, Czyściec? Limbo?! Coś kręcisz. I co to w ogóle za nazwy!

Siedzieli w zamkniętej łoży. Pochłonięci przez słabe, lekko czerwone światło i starszą niż on sam, cichą, nastrojową muzykę. Mężczyzna czuł się swobodnie, wygodnie rozwalony na połowie kanapy. Dziewczyna, każąca nazywać się Lottą, siedziała na drugiej jej części, blisko, lecz nie tak jak chciał. Założyła nogę na nogę, od czasu do czasu kiwając tą wiszącą w powietrzu. Bawiła się lodem w szklance. Wydawała się rozkojarzona, ale z pewnością nie znużona jego towarzystwem. Spojrzenie jej niebieskich oczu błędziło gdzieś pomiędzy drinkiem a linią jego ust.

— To nie żart, Rob — uśmiechnęła się. — W dwudziestym drugim mamy wszystko. PMV.

— PMV... — powtórzył niepewnie.

— Mhm. *Wirtualizacja post mortem*. Nowe, lepsze życie po życiu.

— Dla wszystkich?

— Generalnie tak... jeśli tylko chcesz. Ale to nie znaczy, że każdego stać na najlepszy pakiet.

Nie skomentował. Lotta pociągnęła łyk whisky i uśmiechnęła się szeroko, pokazując swoje idealne uzębienie.

— Więc Czyściec, a formalnie *PMV basic*, jest dostępny dla każdego, kto zdecydował się na mapowanie neuro. Jeśli używałeś Oczu przez dłużej niż kilka miesięcy, nawet pójście na badania możesz sobie odpuścić.

— A koszt transferu?

— Grosze. Poza tym, po osiągnięciu wieku emerytalnego, koszty są całkowicie refundowane przez rząd.

— Jezu... Bardzo... pragmatyczne — skrzywił się mężczyzna. — Ale zaraz; miało być *post mortem*?

— Może być pośmiertnie. Ale nie musi. Zasadniczo można przejść w dowolnym momencie.

— Ale nie można już wrócić. — domyślił się.

— Zgadłeś. Ale tylko po części. Można się przetransferować na jakąś mrożoną korę. Lub syntetyka.

— Jak przy Wznowieniu.

— Hmm... nie do końca. Całkowite, jak to mówią, Wstąpienie do Limbo lub Czyśćca, nie jest zupełnie nieinwazyjne. Do Sieci zostaje przeniesiona twoja pełna osobowość, świadomość, pamięć; naturalnie doładowana w miarę życzenia pacjenta. Jednak od tamtej pory, to właśnie ta wirtualna istota jest prawdziwym tobą. Reszta to tylko kopia kopii.

— Mniej bądź bardziej udana... — wtrącił cicho.

Lotta nachyliła się w jego stronę.

— Przejmujesz się? — szepnęła, muskając jego dłoń. — Krionika jest bezpieczniejsza. Nic nie ginie.

— Tak mi powiedzieli. — Od jej dotyku przeszedł go dreszcz. Bał się poruszyć. — Ale nawet jeśli... to wciąż nie jest moje ciało.

— Głuptasie! — Dziewczyna zaśmiała się, odrzucając głowę. — Jest dwa tysiące sto sześćdziesiąty piąty! Nikt nie przywiązuje się już do zewnętrznej powłoki.

— Robert nie wyglądał na przekonanego.

— Owszem, niektórzy, w zasadzie całkiem spory procent, wciąż w nią inwestują. Wszczypty, redundantne narządy, zamienniki... Ale to tylko potwierdza, że fenotyp jednostki przestał być jej nierozdzielalną, unikalną częścią.

— Współcześni traktują ciało jak ubranie — powiedział, jakby do siebie, Rob.

— Tak. Tylko ortodoksyjni katolicy i kilka mniejszych wyznań nie aprobują biotechnologii. Poza nimi, nawet ci naprawdę przywiązani do formy fizycznej i w tradycyjny sposób dbający o swoje ciało, odkładają, by na emeryturze bez wahania zamienić je na mniej zużyty model.

Lotta zwilżyła usta kończącym się trunkiem. Wolnym, zmysłowym ruchem, oblizała górną wargę i uśmiechnęła się do swojego towarzysza.

— Zresztą po co ja to tłumaczę? Sam jesteś najlepszym przykładem, prawda? W innym wypadku nigdy nie doszłoby do tej rozmowy. I tego niezwykłego spotkania.

— To prawda. — Robert odwzajemnił uśmiech. — Cieszę się, że jednak okazałem się choć odrobinę postępowy.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy, nie przestając się uśmiechać.

— Przepraszam na chwilę — dodał po chwili ciszy, lekko speszony, Rob.

Powoli podniósł się z miejsca i ruszył w stronę toalety. Dyskretnie obejrzał się przez ramię. Lotta nie spuszczała z niego wzroku. Niedbale pomachała dłonią. Rob poczuł jak jego twarz oblewa czerwień. Odpowiedział jednak uśmiechem i już pewniejszym krokiem doszedł do małych drzwi, obitych weneckim szkłem. Przepuściły go do małego, minimalistycznego pomieszczenia, które w jednej chwili rozbłysło stonowanym, lekko niebieskim światłem. Stał przed lustrem i przepadł na dobre pięć minut.

Jeszcze nie wiedział, co sądzić o nowym, wspaniałym świecie, w którym przyjdzie mu teraz żyć, jednak miał dziwne wrażenie, że zastany porządek, nie bardzo trafi w jego gusta. Choć może z czasem się przyzwyczai. Zasadniczo, jedynym plusem, jaki potrafił odnaleźć, był ten wieczór. Whisky w pustym barze dla antyków. I oczywiście Lotta. Nie mógł uwierzyć, że wszystko szło tak gładko. W świecie, gdzie każdy może mieć każdego, niemalże zerowym nakładem czasu i kosztów. Gdzie i tak większość ograniczała się do kontaktów wirtualnych, a seks na żywo, uważany był za przeżytek, właściwy zwierzętom, prymitywom i masochistom. I w tym kontekście piękna, młoda, prawdopodobnie wykształcona i inteligentna kobieta (zresztą: kto nie będzie lepszy od wskrzeszonego głupka sprzed półtora wieku?) flirtuje kolejną godzinę z reliktem poprzedniej epoki? Może jednak coś mu zostało z tamtego wcielenia. Z drugiej strony... nie miał już swojej pozycji, sławy, pieniędzy. Ani, co niemniej istotne, wyglądu. Zamiast niemal dwumetrowej góry

wyrzeźbionych mięśni i zadbanej, rozpoznawalnej twarzy, z której nigdy nie schodził lekko kpiący uśmiech, z lustra spoglądał zupełnie przeciętny facet. Krzaczaste brwi, nieproporcjonalnie duży nos. Ale o twarz wystarczyło odrobinę zadbać i chyba udałoby mu się powstrzymać odruch obrzydzenia. Gorzej z resztą. Wzrost poniżej metr osiemdziesiąt, zdecydowanie za dużo tkanki tłuszczowej. Analizator w soczewkach pokazywał dwa koma siedem kilograma nadwagi. Do tego naprawdę mizerna postura. Rozpiął koszulę. Tors niemal zapadnięty, barki nie wyćwiczone. Ręce nie zadbane i niewystarczająco silne. Generalny obraz był dla Roberta po prostu nijaki. Zwyczajny gość koło czterdziestki.

A jednak, mimo to czuł, że tego wieczoru Lotta należeć będzie wyłącznie do niego.

\*\*\*

Jakieś trzy kwadranse później wylądowali w jednym z apartamentów na godziny, gdzieś na przedmieściach Scotsdale. Lotta tylko z grzeczności zaoferowała podział płatności, gdy zbliżał oko do czytnika obok drzwi. Wybudzony trup czy relikwiarz epoki — na tyle jeszcze było go stać.

Lokum było apartamentem tylko z nazwy. Oprócz wielkiego, solidnego łóżka, pokrytego pachnącą, syntetyczną pościelą, niewiele więcej się tu znajdowało. Stolik nocny z butelką wina i kieliszkami oraz mała lodówka, zapewne wypełniona po brzegi wysokoprocentowym alkoholem w małych poręcznych butelkach. Coś “na odwagę”. Przez chwilę rozważał, czy z niej nie skorzystać lub nie zaproponować Lotcie wina, szybko jednak zrezygnował. Nie uprawiał seksu od blisko stu pięćdziesięciu lat, nie było sensu jeszcze dłużej odwlekać tego momentu. Przecież wypadł z gry tylko na czas śmierci swojego ciała.

Lotta włączyła nastrojową, elektroniczną muzykę. Gestem zmieniła oświetlenie w pomieszczeniu, a pokryty magnetyczną farbą sufit przesterowała, tak by odbijał światło.

— Coś na podgrzanie atmosfery — uśmiechnęła się zalotnie do Roba, wskazując wielkie, idealne lustro na górze.

— Doceniam gest — odpowiedział. — Ale myślę, że jest już wystarczająco gorąco.

Zbliżył się do niej, a ona odsunęła się o krok i opadła na łóżko. Powoli zaczęła rozpinąć guziki bluzki. Patrzył jak zahipnotyzowany.

Przy trzecim guziku, dokładnie w momencie, gdy miał ochotę podejść i uwolnić z objęć stanika jej kształtne, jędrne piersi, stało się coś nieoczekiwanego. Dziewczyna zniknęła, światła w pokoju stały się jaśniejsze, a na wysokości jego głowy wykwitł tłusty, wyraźny napis i proste trójwymiarowe logo. Ochłonął momentalnie. Napis głosił:



*Dziękujemy za zainteresowanie usługami EverydayEntertainment!*

*Jeśli chcesz kontynuować doświadczenie, już teraz autoryzuj subskrypcję wersji Premium.*

*W pakiecie otrzymasz zestaw kontrolerów, zwiększających immersję do maksimum!*

Robert zaklął na cały głos. Z trudem powstrzymując drżenie rąk, wyjął soczewki z oczu i rzucił nimi o podłogę.

\*\*\*

Gdy, już w Phoenix, leżał na przyjmującym kształt ciała, wygodnym fotelu, nie mógł nie odnieść wrażenia, że dał się wkręcić jak dziecko. Zapis z soczewek wyraźnie pokazywał, jak nienaturalnie zachowywała się Lotta. Wtedy nie zwrócił uwagi, do tego wydało mu się to zmysłowe. Dziewczyna robiła wszystko, by jak najbardziej ograniczyć możliwość interakcji ze światem zewnętrznym. Na wszystkich interfejsach za wyjątkiem wzroku i słuchu, gdzie program radził sobie doskonale. Dotknęła go dwa, może trzy razy, bardzo lekko, na tyle, żeby nie zorientował się, że coś jest nie tak. W istocie zamiast prawdziwego dotyku, poczuł jedynie jego prymitywną podróbkę, generowaną impulsem elektrycznym, bezpośrednio w rdzeniu kręgowym. Realniejsze doznania można było uzyskać operując na korze czuciowej, ale do tego soft potrzebował dodatkowej autoryzacji użytkownika. Mechanizm broniący przed oszustami. Robertowi nie pomógł. Fakt, że flirt Lotty był niczym więcej niż wynikiem algorytmów sztucznej inteligencji, mającej na celu pozyskanie nowych klientów, sprawił, że poczuł się zupełnie bezwartościowy. I cholernie samotny.

Po kilku godzinach irytujących, pesymistycznych myśli, podgrzewanych obrzydliwie gorzkim drinkiem, postanowił jednak wrócić do Sieci. Ale na innych, bardziej klasycznych zasadach. Użył ściany pokrytej magnetyczną farbą jako wyświetlacza oraz smartwatcha — otrzymanego w pakiecie przy Wznowieniu — jako interfejsu. Tracił pełne 3D, ale zyskiwał większą pewność, że nikt nie shakuje mu mózgu.

Ty razem nie szukał informacji o współczesnym świecie. Postanowił odnaleźć coś znanego. Kogoś, kto tak jak on, należał do relikwów przeszłości.

Life Lab. nie udostępnił listy Wskrzeszonych, jednak udało mu się odszukać cenną wskazówkę. Ostatnia krioprezerwacja miała miejsce dwudziestego trzeciego lutego dwa tysiące dwudziestego trzeciego. On sam został zamrożony około pół roku wcześniej.

Krionika full bio i neuro\* nigdy nie cieszyła się dużą popularnością, ale to najwyraźniej pewne przełomowe i bardzo niewygodne odkrycie z końca drugiego dziesięciolecia ubiegłego wieku, doprowadziło do jej ostatecznej śmierci.

— Bardzo czarny PR — mruknął pod nosem Robert.

Z jednej strony nic dziwnego, że firmom krionicznym zaczęło brakować funduszy, gdy wyszło, że poprzednie trzy czwarte wieku spędzili bawiąc się w pionierów ekstremalnie drogiej mumifikacji. Już w dwa tysiące osiemnastym internet wybuchnął informacją, że wszystkie prezerwacje to pic na wodę i wielbicieli ekscentrycznych form pochówku nie da się przywrócić do życia. Owszem, może i nawet dość rozsądny procent potencjalnych klientów, zrozumiał, że nowa, opracowana w Life Lab. metoda, daje dużo większą szansę na sukces, ale nowe, o rząd wielkości wyższe ceny, na pewno nie poprawiły notowań przedsiębiorstw oferujących usługę. Przez te parę lat kilka, może kilkanaście osób dołączyło do programu, jednak były to ostatnie podrygi umierającego. Przy cenach rzędu milionów grupa zainteresowanych zwięzła się do może kilkudziesięciu miliardów z całego świata, z których i tak większość musiała się wykruszyć. Zwłaszcza w obliczu dużo ciekawszej wirtualizacji, a także prężnie rozwijającym się metodom przedłużania życia.

W rezultacie tego splotu wydarzeń, wyglądało na to, że Robert był jedną z ostatnich osób, która skorzystała z usługi. Informacje znalezione w rejestrach dwóch, utrzymujących się do dzisiaj firm, zdawały się potwierdzać jego przypuszczenia:

2022:

*pacjentów neuro: 2*

*pacjentów bio: 1*

2023:

*pacjentów neuro: 1*

“Hibernauci”, zgodnie z zaleceniami duchowego ojca krio — Jamesa Bedforda — byli kolejkowani metodą *FILO\**, co oznaczało, że obecnie żyje jedna istota, która — poza nim — pamięta początek dwudziestego pierwszego stulecia.

To musiał być miliarder, którego nazwisko z pewnością budziło emocje tysięcy, jeśli nie milionów współcześnie mu żyjących. Mimo to Robert nie miał pojęcia kto. Dane osobowe nie były podawane do informacji publicznej, a jeżeli delikwent wyraźnie zastrzegł swoją tożsamość — i zatroszczył się, by nie wyszła na jaw jednym z bocznych torów — nie było możliwości odnaleźć w Sieci choćby wzmianki o nietypowej formie “pochówku”. Od

niechcienia zapytał o osoby, które zmarły w okresie między jego zgonem, a zamknięciem programu, a których majątek był wyceniany na minimum pół dużej bańki. Znalazło się kilka nazwisk, jednak żadne nic mu nie mówiło. A przynajmniej nie na tyle, by stwierdzić, że ta osoba skorzystała z dobrodziejstw krioniki. Nie kojarzył by kogokolwiek z nich spotkał.

Spróbował więc innej drogi. Drzewo genealogiczne. Najprostszy sposób na pseudo-nieśmiertelność człowieka, jeszcze sprzed ery prezerwacji. Niestety Rob nie doczekał się żadnego dziecka, więc pozostało mu szukanie po potomkach jego kuzynów. Nie spodziewał się wiele po rozwodnionej krwi i gdy na ścianie pojawiły się zdjęcia kilkunastu osób różnych nacji, wieku, a nawet koloru skóry, stwierdził, że całe to poszukiwanie jest tak liche jak jego nowe ciało. Nie miał nic wspólnego z tymi ludźmi. Znalezienie tematu do rozmowy byłoby problemem, co dopiero zaplanowanie dziwnego i niezręcznego spotkania.

Westchnął ciężko, przeciągając się. Sięgnął po elektroniczną lufkę i zagestykułował, z zamiarem znalezienia czegoś, przy czym mógłby się odprężyć. Wyszukiwarka osób uparcie nie współpracowała. Zamiast przejść do tła, wyrzuciła nowe okno, z kłującym oczy pytaniem, dodatkowo odczytanym przez irytujący syntezytor mowy:

*Chcesz poprawić jakość wyszukiwania? Wyraź zgodę na użycie próbki DNA.*

Rob zaklął znużony. Zawahał się jednak i nie wysłał aplikacji w diabły. *Co mi szkodzi*, pomyślał i przyłożył palec do wielofunkcyjnego ekranu smartwatcha.

\*\*\*

Bał się poruszyć. Przez długą chwilę po analizie wyników wręcz wstrzymywał oddech. To sen, z którego wybudzić może nawet drgnienie powiek. Robert Ratajczyk miał syna. Gentotyp zgodny do pięciu miejsc po przecinku. Jego dziecko urodziło się czternastego lipca dwa tysiące osiemnastego. Gdy zginął, mały Tomasz Wilk miał zaledwie dwa i pół roku. Jego matką była polska aktorka, z którą Robert spotykał się przez większość siedemnastego.

\*\*\*

Jak zawsze obudził się pierwszy. Sięgnął po smartfona na wezłowskiu łóżka i wyłączył alarm, który miał się uruchomić za niecałe pięć minut. Rozejrzał się po sypialni. Oprócz ogromnego łóżka nie znajdowało się tu praktycznie nic. Małe nocne biurko, nieużywana

paleta malarska, porzucona w nieładzie pod oknem. Kilka zdjęć, uwieczniających Izę, zaburzało idealną, białą pustkę ścian. Wewnętrzne rolety delikatnie przepuszczały światło poranka. Zapowiadał się słoneczny i ciepły dzień. Przeszło mu przez myśl, że to cholernie niezwykle dla tego niezrozumiałego, smutnego kraju. Nawet, gdy kalendarz wskazywał na środek kwietnia.

Wreszcie spojrzał na łóżko. Nie potrafił nie uśmiechnąć się na widok odsłoniętych pleców dziewczyny obok siebie. Kręcone blond włosy sięgały niemal do pasa. Zupełnie ginał w nich kark, barki i trochę zbyt chude ramiona. Robert niesamowitym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie przesunąć dłoni po jej idealnie opalonych biodrach i sięgnąć do miejsca, ukrytego między zaciśniętymi udami. Nie chciał jej budzić.

Ostrożnie wstał i wyszedł na taras. Z siódmego piętra hotelu roztaczał się zapierający dech widok na Hel i zatokę. Oparł ręce na barierce i zaciągnął się wiosennym powietrzem. W tym samym momencie Iza objęła go w pasie.

— Czemu się skradasz, hm? — szepnął, lekko odwracając głowę.

— Sprawdzam twoją czujność. — Dziewczyna uśmiechnęła się i cmoknęła go w usta. Miała na sobie białą koszulkę Roberta z logiem jego marki. Mogła w niej utonąć.

— Jakie plany na dzisiaj? — rzuciła po chwili ciszy.

Mężczyzna westchnął.

— Przeżyć — uśmiechnął się kwaśno.

— Oj, przestań! — Iza szturchnęła go lekko. — Będzie fajnie!

— Taa... impreza charytatywna i konferencja prasowa... Co tam jeszcze było?

— A właśnie, miałam ci przypomnieć! Dziś o siódmej bankiet u mojego reżysera. Musisz pójść ze mną!

Roberta przeszły ciarki na myśl o wszystkich celebrytach i paparazzi Europy Centralnej, których będzie musiał zdzierżyć tego wieczoru.

— Izuś, ja jestem na wakacjach... — dorzucił do swojego tonu kilka błagalnych nut.

— No, nie daj się prosić!

Dziewczyna obróciła go w swoją stronę. Przyłgnęła do niego całym ciałem, zagryzając dolną wargę. Przez ciało Roberta przeszła elektryzująca fala ciepła. Nie musiał odpowiadać. Oboje wiedzieli, że Iza i tak postawi na swoim. Nie odrywając od siebie ust, w mgnieniu oka wylądowali z powrotem w łóżku.

\*\*\*

Wiosna i lato rozplynęły się wśród podobnych chwil. Zmieniło się z początkiem jesieni. Iza zaczęła naskakiwać na niego, robić mu wyrzuty. Kpić z jego zachowania i braku odpowiedzialności. W końcu stwierdziła, że to nie ma sensu i zerwała kontakt. Teraz zrozumiał, że moment ten pokrywał się z chwilą, gdy dziewczyna dowiedziała się o ciąży.

Nie miał pojęcia czemu Iza podjęła taką decyzję. Ani dlaczego okłamała go, że się zabezpiecza. Nie przypuszczał nawet, że może mieć dziecko z tą dziewczyną. Z drugiej strony, po ich rozstaniu, przestał się do niej odzywać. Fala wściekłości przeszła wzdłuż jego kręgosłupa. Tak silna, że aż zrobiło mu się gorąco. Dlaczego nigdy się nie odezwała?! Nie szepnęła, nie podrzuciła zdjęcia, które sprawiło, by poczuł się nieswojo; a być może nawet zazdrosny... Nie straszyla, nie żądała kasy, nie chwaliła się życiem osobistym w mediach. Czy to możliwe, że zdecydowała się nie mieć z nim nic wspólnego? Poza tym dzieckiem oczywiście!

Nie mógł tego zrozumieć. Gdy dotarło do niego, że już nigdy do tego nie dojdzie, wściekłość momentalnie opadła. Zmieniła się w rezygnację. I gorycz. Żal, że nigdy nie pozna swego jedyne go syna, napełnił jego nowe serce uczuciem równie nieznanym i niezrozumiałym, co decyzja Izy, która doprowadziła go do tej chwili.

\*\*\*

Kraków zmienił się. Choć nawet w połowie nie tak jak amerykańskie miasta. Tramwaje zyskały nową konstrukcję. Sunąc niemal półtorej setki na godzinę nad nadprzewodzącymi szynami, dostał się do centrum w kilkanaście minut. Zgodnie z przewidywaniami z czasów swojego "zgonu", obowiązująca polityka budowlana zatopiła miasto wśród osiedli i biurowców. Tylko ściśle centrum miało immunitet. Nawet Kazimierzowi trochę się dostało. Do galopującej, piętającej się architektury, udało dostosować się infrastrukturę. Na szczęście. Miasto wydawało się o niebo lepiej skomunikowane niż sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Superszybkie tramwaje łączyły istotne miejsca, zaś osobowe statki powietrzne sunęły na wysokościach od dwudziestu do stu metrów nad poziomem ulic. Na drogach ruch wciąż istniał, jednak jego gęstość w końcu była rozsądna. Większość stanowiły identyczne, małe, inteligentne samochody, wypożyczane na godziny. W końcu nastały czasy, gdy mieszkańcy zrozumieli, iż posiadanie własnego pojazdu to nie luksus, a przekleństwo. Mimo potrojonej liczby mieszkańców, poprawił się również stan powietrza w Krakowie. Wreszcie dało się oddychać, a nocą — również dzięki nowym przepisom energetycznym — ponoć było widać gwiazdy w ilości większej niż liczba palców u obu rąk.

Wysiadł zaraz przy cmentarzu. Przystanek od bramy oddzielał jedynie niewielki parking, przy którym rozstawione były stoiska z kwiatami i zniczami. *Pewne rzeczy się nie zmieniają*, pomyślał; jednak gdy dotarło do niego, że wszystkie sklepiki są zupełnie autonomiczne i pozbawione jakiegokolwiek ludzkiego nadzoru, już nie był taki pewien. Wziął znicz elektryczny z baterią słoneczną i skromny wieniec, z nazbyt patetycznym — jak na jego gust — napisem:

*“Nie wszystkim umrę”*

Zapłacił zbliżając chip identyfikacyjny do czytnika.

Mimo, że nigdy wcześniej nie był na Cmentarzu Podgórskim, od razu wiedział, dokąd iść. Gdy odnalazł wyblakły symbol kwatery  $\Omega$ , skręcił w zapuszczoną, wąską alejkę. Zrozumiał, że obecnie była to już nieeksploatowana, zapomniana część. Daty na grobach zamykały się raczej w dwudziestym pierwszym stuleciu. Już od dziesięcioleci większość decydowała się na spalenie w jednym z gigantycznych, chemicznie czystych krematoriów. Rodzina mogła powspominać zmarłego w przeszklonych salach odwiedzin, gdzie pod logami wielkich korporacji, każdy mógł liczyć na pełen serwis, wliczając w to obiad, drinki i multimedia z nieboszczykiem w roli głównej. Bardziej tradycyjne osoby decydowały się na pochówek w klasycznej nekropolii, jednak dla oszczędności miejsca, chowało się jedynie urny z prochami zmarłego. Cała rodzina w jednym grobie: optymalizacja na miarę dwudziestego drugiego wieku. Kwaterna  $\Omega$  była ostatnią na Podgórskim, gdzie spoczywały ludzkie zwłoki.

Bez problemów odnalazł skromny grób, na którym widniał napis:

*Tomasz Wilk*

*14. lipca 2018 — 30. listopada 2099*

Obok zdjęcie przystojnego, eleganckiego mężczyzny — z pewnością starszego niż Robert. Tomasz miał na nim ciemne, półdlugie włosy, niebieską koszulę i nonszalancko zarzuconą marynarkę. Poza zdjęciem tablica pamiątkowa była pusta. Żadnego cytatu, zero epitafium w jakiegokolwiek postaci.

Rob złożył wieniec na środku nakrywy. Znicz położył w prawym rogu, zaraz pod tablicą. Po drugiej stronie stał drugi, podobny.

— Dobry wieczór, panu. — Rob niemal podskoczył na dźwięk głosu.

— Dzień dobry — odparł z trudem. Jego polski nawet przed śmiercią był kiepski.

Przy grobie stanął starszy mężczyzna, na oko ponad siedemdziesięcioletni. Rob dopiero później zrozumiał, że facet był o blisko dwie dekady starszy. Wysoki, mimo wieku, wyprostowany, posiwiały staruszek, wyglądał jak starsza wersja Tomasza Wilka z nagrobego zdjęcia. Mężczyzna położył na płycie skromną świeczkę. Zdjął rękawice i wyciągnął zapalki. Udało mu się odpalić dopiero przy trzeciej próbie. Przesunął, płonący słabym światłem znicz, pod samą tablicę i powoli się przeżegnał. Rob patrzył w niego jak zahipnotyzowany.

Nie wystarczyło mu odwagi, by poczekać aż starzec skończy się modlić. Nie miał pojęcia, jak powinien odpowiedzieć na pytanie, które — był tego pewien — padłoby z ust tamtego. Zrobił niedbały znak krzyża i położył dłoń na płycie. Pierwszy i ostatni raz. Czując coś silniejszego i istotniejszego niż wszystko co przeżył do tej pory, pożegnał staruszka skinieniem i szybkim krokiem ruszył w stronę cmentarnej bramy.

\*\*\*

Jak przypuszczał, mężczyzną był jego prawnuk. Sieć była co do tego przekonana, tym razem obyło się bez analizy porównawczej genotypów. Najwyraźniej z dziadkiem łączyła go silna więź, wyraźna nawet grubo ponad pół wieku po śmierci Tomka.

To krótkie, nieme spotkanie, rozbiło go do reszty. Zakopany w łóżku czterogwiazdkowego, krakowskiego hotelu, tonął w melancholii. I morzu whisky. Udało mu się nawet dorwać prawdziwe papierosy. W poprzednim życiu unikał ich jak ognia. Teraz kosztowały fortunę i wcale mu nie smakowały, ale palił jak smok. Czuł się jak ostatni człowiek na całej planecie. Dwudziestowieczny alkohol i gryzący w oczy, rakotwórczy dym, pasowały do tego stanu idealnie.

Przez kilka dni, które spędził w mieście, nie wyszedł z pokoju. Prawda, skusił się na kilka atrakcji współczesnego świata, jak aplikowane prosto w rdzeń mózgu dragi. Lub prostytutki-androidy. Lecz ani hiperrealistyczny, kontrolowany odlot, ani boginie seksu bez zobowiązań, nie zdołały rozpalić w nim choćby iskry wiary w dwudzieste drugie stulecie.

\*\*\*

Czwartego dnia pobytu, gdy zdołał nieco otrzeźwieć, zaczął myśleć o wyjeździe. Mógłby udać się gdzieś w dzicz (może takie miejsca jeszcze istniały?) i żyć sam dla siebie.

Utrzymywać się z pracy własnych rąk, jak jego przodkowie sprzed czasów wirtuala, internetu i elektryczności. Ucieczka wydawała się dobrym pomysłem. Wracać nie miał wszak do czego.

Z rozmyślań wyrwało go ciche pukanie do drzwi. Ciężko zwał się z łóżka i poszedł otworzyć. Za progiem stała kobieta w średnim wieku. Postura przeciętna, blond włosy, twarz raczej ciekawa niż piękna.

— Robert Ratajczyk? — zapytała tylko. Pokiwał głową. Czekał na dalszy ciąg, nie wpuścił jej do środka.

— Eemm... no dobrze. Nie myślałam, że to będzie takie dziwne. — Na twarzy kobiety odmalowała się mieszanka złości i niepokoju. — Jestem Liz Black. Choć może wtedy przedstawiłam się jako... Azul Amber. Poznaliśmy się... nie, raczej tego nie pamiętasz.

Nastała chwila niezręcznej ciszy. Ale pamięć Roba działała lepiej niż kiedykolwiek. W jej zakamarkach odnalazł enigmatyczną i nieco ekscentryczną kobietę, którą poznał na jednej z imprez, odbywających się w jego rezydencji nad Morzem Śródziemnym. Wtedy, w swej arogancji, nie rozpoznał w niej wpływowej prezes jednej z ówczesnych korporacji.

— Prawie sto pięćdziesiąt lat temu. — Mężczyzna po raz pierwszy od wielu dni pozwolił sobie na uśmiech. — Pamiętam. Wejź proszę.

— Mam nadzieję, że tym razem znajdziesz dla mnie więcej czasu niż wtedy — rzuciła kobieta ironicznie, lecz bez złości. Wyglądała jakby zrzuciła z siebie stukilowy ciężar.

Jej rozmówca zaśmiał się krótko.

— Przepraszam za tamto. Ale to było w poprzednim życiu. Myślę, że teraz będzie zupełnie inaczej. W gruncie rzeczy... chyba znajdziemy całkiem sporo wspólnych tematów.

\*\*\*

Kobieta zdjęła z głowy półprzezroczystą obręcz. Odgarnęła kosmyk prostych, czarnych włosów. Kraków widziany z lotu ptaka zastąpił widok ciemnego, dużego pomieszczenia, o nisko zawieszonym suficie. Kilkanaście pracujących w nim osób stało, poruszało się lub siedziało z podobnymi opaskami na oczach. Część pisała na klawiaturach unoszących się zaraz pod palcami, część gestykulowała. Niektórzy beznamiętnym głosem rzucali zwięzłymi komendami.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna w średnim wieku. Włosy przyprószone siwizną, przeciętny wzrost, raczej licha postawa. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Poza oczami. W lewym oczodole miał implant, brzydko zrosnięty z głęboką blizną, biegnącą w



stronę ucha. Prawe oko, stalowe i zimne, patrzyło gdzieś w dal, prześwietlając pracowników, statek i znajdującą się za nim planetę.

— I jak? — zapytał tylko.

— Sukces, Martin. — Kobieta rozpromieniła się. — Adaptacja wirtualizacji obiektów 0220211RRK156 i 0230606EBK023 zakończona powodzeniem. Awatary przeszły aklimatyzację.

— Świetnie. To ostatni?

Podwładna skinęła głową.

— W takim razie czas na nas. Uruchamiam procedurę startową.

Wzrok mężczyzny odpłynął na moment. Źrenica schowała się w kąciku oka, implant zapalił się na niebiesko. Po sekundzie wszystko wróciło do normy. Siła bezwładności delikatnie docisnęła go do podłogi. Cichy szum rozgrzewających się silników wypełnił pomieszczenie. Martin minął ekrany taktyczne i współpracowników, powoli ściągających opaski. Podeszedł do przedniej ściany i wykonał zamaszysty ruch dłonią. Powierzchnia stała się przezroczysta. Za nią małały zniszczone domy, powalone biurowce i martwe fabryki. Na obskurnych, zapuszczonych ulicach walały się pozostałości pojazdów.

Pośród zgliszcz próżno było szukać ludzi, zwierząt. Nawet zieleni roślin. Statek przyspieszył, a jałową Ziemię zakryły ciężkie, toksyczne chmury. Już nikt więcej nie miał oglądać jej oblicza.